№ 50. Warszawa, dnia 12 Grudnia (30 Listopada) 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

OD REDAKCYI.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika" — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na rok przyszły.

Prenumerata wynosi:
W Warszawie, kwartalnie rs. 1.

Z przesyłką pocztową:
kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści" w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Gamaston.

WIARA...

FRAGMENT Z ŻYCIA.

(Ciąg dalszy).

Miłość moja była jakaś nadzwyczajna, więcej kochać jak już kochałem nie można, ale coraz więcej przywiązywałem się do niej, urok jej głosu i wdzięku, czar tych głębokich, jasnych oczu nic z czasem nie zmniejszał się, zawsze był dla mnie takim jak w pierwszych dniach poznania. Całując jej rączyny i usta, doznawałem zawsze takiej rozkoszy jakbym to pierwszy raz czynił.

Nadszedł straszny czas, w początku Lipca przyszły wiadomości o możliwej wojnie, a piętnastego otrzymałem wezwanie od mego przyjaciela, generała Douay, abym niezwłocznie stawił się na służbę. Nie wahałem się ani chwili; kochałem Magdalenę całą potęgą serca i duszy, ale Francya była zagrożoną, jej honor stawiałem na pierwszem miejscu.

Żegnaliśmy się długo; poszliśmy na ławkę, na „langue de Chat," tam gdzieśmy tyle razy miłość sobie wyznawali, pożegnanie zakończyłem słowami:

— Jeśli nie wrócę, bądź matką Janiny; babka stara, długo nie pożyje.

Na to odrzekła:

— Wrócisz! nie mówię ci: żegnam, mówię do widzenia!

Była silną, ale tu ją siły opuściły, zawisła na mych ramionach i długo łkała.

Wyjeżdżałem, matka, Magdalena i Janina stały przed pałacem; pierwsza błogosławiła mię, druga wyciągnęła rękę mówiąc:

— Jedź z Bogiem i wiarą, walcz za honor ojczyzny i kochaj swoją Magdalenę, a wracaj okryty chwałą!

Łzy ją dławiły, ale uśmiechała się.

W trzy dni potem byłem z moimi turkosami w dywizyi generała Douay. Zostaliśmy wysłani przez Mac-Mahona na granicę, aby przekonać się o sile i stanowisku nieprzyjaciela. Zajęliśmy Wissenburg stolicę departamentu niższego Renu. Wątpię czy znasz pan szczegóły fatalnej bitwy 3-go Sierpnia.

Dwa pułki liniowe, batalion strzelców, pułk turkosów, pułk konnych strzelców, i tylko trzy armaty stanowiły całe nasze siły. Forpoczty wysłane na granicę nie dostrzegły Niemców, tymczasem rano, o świcie, usłyszeliśmy potężną kanonadę i na górach ukazała się w ogromnych masach piechota, jazda i artylerya. Pierwsze granaty padły na Wissenburg i zapaliły koszary. Wystąpiliśmy do boju, ośm tysięcy walczyło przeciw stotysięcznej armii nieprzyjacielskiej. Ta straszna walka jednego przeciwko dziesięciu trwała dziewięć godzin. Historya zapisała naszą sławę niestartemi głoskami. Generał Douay zginął bohaterską śmiercią; granat strzaskał jego szlachetną głowę. Turkosi opanowali ośm dział nieprzyjacielskich, ale odebrano je nam po zaciętej walce z olbrzymio przeważną siłą; biliśmy się jak lwy; z imieniem Magdaleny na ustach walczyłem zawzięcie; wytępiliśmy prawie cały pułk huzarów pruskich.

Gdy trąbiono do odwrotu, myśmy, chociaż zewsząd otoczeni nieprzyjaciółmi, nie zważali na to sromotne hasło; walczyliśmy bez przerwy. Kula ugodziła mię w piersi, upadłem. Ocuciłem się w ambulansie, byłem w niewoli z towarzyszami, których wzięto przeszło czterystu. Czemu nie umarłem na polu chwały!... nie byłbym zaznał hańby Sedanu, upokorzenia Francyi i strasznych dni mego powrotu.

Stary westchnął i przestał mówić. Już było późno, księżyc schował się za góry; na ciemno lazurowem niebie gwiazdy jasno świeciły, a zdaleka, co chwila, mignęło światło elektrycznej latarni morskiej w porcie Fiume; błysnęło, odbiło się długim pasem w lekko drżącej powierzchni Adryatyku i zniknęło.

Janina cicho wróciła, nie przerywając usiadła w drzwiach i stary jej nie widział.

Po chwili odezwałem się:

— Opowiadanie zapewne pana wyczerpało; bolesne wspomnienia denerwują, może innym razem pan dokończy?

— O nie — odrzekł, — już zbliżamy się do końca, zaraz dopowiem resztę.

Znów wypił trochę wina i mówił dalej:

— Byłem chory prawie przez siedm miesięcy, oprócz rany w piersi miałem bok i nogę przeciętą, o czem walcząc nie wiedziałem. Przez pierwsze trzy miesiące byłem między życiem a śmiercią: róża rzuciła się na rany, utrata krwi, odnowienie się afrykańskiej rany, wszystko razem się zebrało.

Wyobrażasz pan, jakie katusze przenosiłem, nie wiedziałem co się dzieje w kraju i z Magdaleną, marzyłem ciągle o niej i modliłem się za nią.

Przyszedłszy do jakiej takiej władzy w ręku, pisałem kilka razy do domu, ale żadnej odpowiedzi nie otrzymałem. Zmizerniałem strasznie, posiwiałem mocno i wyglądałem jak starzec.

Bardzo wolno powracałem do sił, nareszcie w początkach Marca wyruszyłem do domu. Nie dawałem znać i od stacyi Guingamp pojechałem najętym powozem, całą drogę serce mi strasznie biło.

Matkę zastałem w fotelu, nie chodziła, miała nogi sparaliżowane, witała mię radośnie, ale jakiś smutek patrzał z jej oczu. Magdalena, zawsze zachwycająca, trochę blada, była tak wzruszoną, że słowa przemówić nie mogła, Janinka tuliła się do mnie, a ja płakałem jak dziecko, wzruszenie tak mię opanowało, że długo utulić mię nie mogli.

Pod wieczór przyjechał notaryusz Brisson z poblizkiego St. Quay, młody, strojny i tak dziwnie piękny, żem się nim zachwycił, elegancki i miły w obejściu robił wrażenie nie notaryusza, ale księcia. Przyjechał w interesach Magdaleny.

Zacząłem odżywać, po dwu dniach dużo lepiej się czułem, ale jeszcze nie miałem sił, aby jeździć konno lub łodzią.

Raz, wieczorem, Magdalena w bardzo oględny sposób powiedziała mi, że musi opuścić Brehat, ponieważ pobyt jej tu jest komentowany bardzo dwuznacznie, że dopóki nie otrzyma rozwodu nie możemy mieszkać razem. Tymczasem jednak skutkiem wojny, oblężenia Paryża i komuny, o procesie rozwodowym wcale nie było słychać. Ta chęć wyjazdu mocno mię zmartwiła i zdziwiła; ale moje zdziwienie było jeszcze większe, że matka o którą się ta sprawa oparła, nie zatrzymywała jej, jak to zawsze dotąd czyniła, ale trzymała niejako jej stronę. Oparłem się stanowczo, zacząłem robić Magdalenie wymówki, perswadować i błagałem, żeby mię nie opuszczała. Odroczyła wyjazd.

Codziennie rano jeździła konno, ja jeszcze nie mogłem jej towarzyszyć. Czas ten przepędzałem przy matce na rozmowie, ona jak za lat dziecinnych głaskała i pieściła mię, przykuta niemocą do fotela, wzdychając całowała mię.

Jednego dnia po wyjeździe na spacer Magdaleny zerwała się burza, byłem bardzo niespokojny, wyszedłem na drogę, na szczęście wkrótce wróciła, a burza się wzmagała. Silny uragan szalał nad Brehat, pioruny uderzały w drzewa parku. Siedliśmy w bibliotece, otoczyłem Magdalenę ramieniem i przytuliłem do siebie, ona drżała ze strachu. Uspokajałem ją i perswadowałem, a gdy piorun uderzył i strzaskał ławkę i latarnię na tarasiku „langue de chat" zaczęła nerwowo krzyczeć.

— Czego się boisz, mój skarbie?—pytałem, — wszak jestem przy tobie.

— Burza mię denerwuje — krzyknęła i uciekła.

Pobiegłem za nią — wpadła do swego pokoju, rzuciła się na łóżko — i głowę przykryła poduszką.

Mocno się zmartwiłem, dawniej nigdy przy mnie niczego się nie bała. Po południu burza ucichła, poczyniła straszliwe spustoszenia w ogrodzie i parku. Poszliśmy z Magdaleną obejrzeć szkody, na „langue de chat" kamienna ławka była rozbita na trzy części, a słup i latarnia zupełnie strzaskane.

— Zły znak — żartowałem. — Świątynia naszych wyznań miłosnych zniszczona. Czy zawsze kochasz mię tak samo?

(Dokończenie nastąpi.)

Książki dla dzieci i młodzieży.

Ostatnie dni w roku są okresem, w którym najwięcej książek dla dzieci i młodzieży rozchodzi się w świat daleki. Pod dachy pałaców i strzechy dworków, nieraz i w niskie progi wieśniacze wraz z *gwiazdką* przybywa książeczka. Wpływ jej zawsze doniosłego znaczenia, donioślejszego stokroć niż ten, jaki książka dla dorosłych mieć może.

Z niej wrażliwe organizacye dziecięce czerpią bogate zapasy obrazów, wzruszeń, zachwytów, których lektury późniejsze nie zacierają prawie nigdy. Ślady, które książka w dziecinnych latach przeczytana zostawia na duszy, są to ślady niezniszczalne. To też baczną uwagę zwracać powinni wychowawcy na rodzaj pokarmu, który umysłom młodym do spożycia podają, nie wypuszczając przytem nigdy z rachuby indywidualności małego czytelnika. Ta sama książka dla jednego dziecka zajmująca, drugiemu może się wydać nudną, jednemu pożyteczna, innemu stać się może szkodliwą, i t. d.

Zazwyczaj kupując książkę, rodzice nie znają treści jej i nieznaną sobie oddają w ręce dzieci. Jest to złe, któremu w części przynajmniej zapobiedz mogą sumienne sprawozdania z wydawnictw dla młodego wieku przeznaczonych.

W artykule niniejszym pragnęlibyśmy właśnie zapoznać czytelniczki nasze z treścią niektórych książek niedawno wydanych, a mających za cel nieść naukę i przyjemność młodemu pokoleniu.

Na jednej z powiastek, które dostały nam się w ręce, spotykamy nazwisko darzone ogólnie niepospolitem uznaniem. Elizy Orzeszkowej „Przygoda Jasia" napisana jest podobnie jak wszystkie utwory autorki tej z bardzo wyraźną tendencyą społeczną. Jest to opowiadanie o pewnym synku bogatych rodziców, który obawiał się bardzo ubogich, bo ubogi w wyobraźni jego był to *dziad* z długą brodą, i straszną torbą, do której zabierał dzieci. Niespodziewanym zbiegiem okoliczności mały Jaś gubi się wieczorem na ulicach miasta, i dostaje pomiędzy *strasznych ubogich.* Ze światem tym mimo uprzedzeń swoich oswaja się bardzo łatwo. Znalazłszy się wśród zacnej i bardzo sympatycznej rodziny ubogiego garncarza, w domu jego przepędza noc, zawiera przyjaźń z dziećmi jego, słucha z przyjemnością opowiadań starego brodatego *dziada*, któremu tego samego dnia rano, z płaczem i drżeniem na rozkaz ojca podawał jałmużnę, zajada ze smakiem krupnik na wieczerzę i t. d. Na drugi dzień rano odprowadzony do domu rodziców przez poczciwego garncarza, oddaje część zabawek i łakoci swoich nowym znajomym, rzuca się na pożegnanie w objęcia ubogiego człowieka, i nie żywi odtąd żadnych względem nędzarzy uprzedzeń, żebrakom udziela jałmużny, rozmawia z nimi chętnie, zabawkami, których posiada bardzo wiele, dzieli się z biednemi dziećmi i t. p.

Tkwi w tem wszystkiem nauka skierowana do rodziców bogatych: pozwólcie dzieciom waszym zstąpić między łaknących i spragnionych—pozwólcie, by dwa światy używających i pracowników zbliżyły się do siebie. Jednym i drugim wyjść to może na dobre. Autorka należy widocznie do optymistów, którzy sądzą, że wzajemne zbliżenie się ludzi różnych stanów, poznanie gruntowniejsze jednych przez drugich zarównać może przepaści wytworzone wiekowem działaniem warunków społecznych.

W obrazku tym choć dla małych dzieci pisanym, pod piórem znakomitej autorki postacie niektóre wyrosły bardzo plastycznie. Zwłaszcza „niziny" świata pełne są barwy życia i ruchu. Niektóre osobistości, jak stary tracz, surowy i bogaczom trochę niechętny, żona jego; staruszka dobra ale chorobliwie gderliwa, łagodna o pięknej bladej twarzy żona garncarza, dziad, exstangret pański, zdają się poruszać przed naszemi oczyma pełne charakteru i prawdy.

Pomimo tendencyi bardzo wyraźnie bijącej w oczy, a może właśnie ze względu na nią, książeczkę tę polecićby można jedynie chyba dzieciom sfer bogatych, przesiąkniętych kastowemi uprzedzeniami. Zbyt wyraźnie rzuca się tu w oczy przepaść niezgłębiona między światem, do którego należy Jaś, a światem traczów, garncarzy i dziadów, zbyt jaskrawo występują różnice pomiędzy bytem małych Jasiów i małych Wincuków, zbyt gorliwie nareszcie usiłuje autorka przekonać, że ci ludzie biedni, to także ludzie, by w sercu dziecka ubogiego, czytającego jej opowiadanie nie miała wyrodzić się gorycz pewna, co naturalnie z celem, do jakiego dąży autorka stanęłoby w żywej sprzeczności.

I znowu jednej z pierwszorzędnych firm literackich miano spotykamy na książce przeznaczonej dla dzieci. „Niedziele Romcia" Wiktora Gomulickiego są zbiorem pogadanek ojca z synem przypominających podobne rozmowy Ernesta Legouvé. Pogadanki odbywają się zazwyczaj w niedzielę, a przedmiotu do nich dostarczają obrazy miasta i wsi, różnorodne okoliczności życia codziennego, jego przyjemności i zawody, przyroda, sztuka, zagadnienia etyczne w zakresie

w jakim one myśli ośmioletniego dziecka nasuwać się mogą i t. d. Do ogólnego rozwinięcia umysłu dziecięcego książka ta w wysokim stopniu przyłożyć się może.

Właściwszem jednak byłoby czytać ją dzieciom i wciągać je w rozmowę na temat poruszony w pogadance, niżeli dawać do czytania.

Styl jasny, zrozumiały, przystępny dla dzieci, a mimo to artystyczny stanowi niemałą zaletę pracy Gomulickiego.

W świat gór, potoków, przepaści, przygód dziwacznych, postaci niemal bajecznych przenosi swych młodych czytelników autor „Robinsona Tatrzańskiego.” Pozostawiwszy na stronie część przyrodniczą, pomówimy o utworze powieściowym. Mrok zapadał — zaczyna autor swą fantastyczną opowieść — a wraz z tym mrokiem schodziła na Tatry cisza wielka, której nawet lot skrzydeł orlich nie zamącał, ani ryk zwierza groźnego nie przerywał, cisza taka, że zdawało się, iż te niebotyczne, odwieczne skały tatrzańskie ukorzyły się przed Bogiem i gromadnie w tej ciszy modlą się do niego; Tatry!”

Takich pięknych, malowniczych i poetycznych opisów przyrody znajdujemy tu niemało. Nadto w powieści całej panuje nastrój wysoce szlachetny, zjawiają się też obrazy pociągające fantastycznym urokiem, jak owa tratwa na spokojnych falach cichego jeziora wśród snopów księżycowego światła, po przez mgły przejrzyste przejęte blaskami gwiazd i księżyca, wioząca tajemnicze postacie, białego starca przygrywającego na gęślikach, i młodą juhaskę nucącą smętną piosenkę.

W początek wieku bieżącego, w czasy, gdy Tatry — dziś ukochanie malarzy i poetów roiły się od opryszków i cyganów, przenosi autor swego czytelnika. Uczony starzec, Stanisław Orsza z uczniem swym kilkunastoletnim Władkiem Bończycem wybrawszy się w góry dla zbadania ich skarbów przyrodzonych, budzą podejrzenie zbójników, że innych skarbów szukać tutaj przyszli. Sądzą mianowicie górale, że złotych i srebrnych pieniędzy i klejnotów zakopanych przez legendowego bandytę Janosika poszukuje sędziwy uczony, cierpliwie i wytrwale włóczący się po górach. Przyrodnicy nasi dostają się w ręce zbójników, którzy młodszego puszczają na wolność, a starszego uprowadzają do swych zbójeckich kryjówek.

Na tle usiłowań Władka podejmowanych celem oswobodzenia ukochanego opiekuna, rozgrywa się pełna najdziwniejszych awantur, trochę Verne'a, trochę Scotta przypominająca opowieść Gębarskiego. Z niebezpieczeństw przeróżnych, walk, zasadzek, wychodzą wreszcie cało Orsza i Władek i wszyscy, których sympatyą swą darzy autor, a wraz z nim zapewne i młodzi czytelnicy.

Powieść czyta się z przyjemnością. Wypadki szybko jeden po drugim następujące, dziwaczność przygód zajmują i przykuwają uwagę.

To też książkę tę polecić można młodym czytelnikom.

F.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Exhumacye współczesne.

Nie od bardzo dawna, ale za to nader energicznie zabrano się w Europie zachodniej, a przedewszystkiem we Francyi, do szczególnej w swoim rodzaju roboty literackiej — roboty, którą z głębi przekonania i w dosadnych słowach potępiają umysły poważne, a którą niekrytyczny ogół chwyta chciwie i upowszechnia, ani się domyślając, że cały ten nowy dział w literaturze zawdzięcza jedynie połączonym usiłowaniom wydawniczej chciwości i obniżonemu poziomowi etycznemu niektórych pisarzy.

Skandal powieści pornograficznej przestał budzić tego interesu, który budził dawniej. Postacie i sytuacye poczęte w wyobraźniach neurasteników takich, jak Maupassant na przykład, traciły stopniowo powab, raz że kreacye były ciągle jedne i te same, i że fabuła zaczęła powtarzać się także, boć ostatecznie ta cała kopalnia niewyczerpaną być nie może. Dziennikarz wie dobrze na czem polega wdzięk skandalu; wie on, że tam gdzie fabuła sama przez się nie zrobi wrażenia na oswojonych i przesyconych — tam dodanie kilku nazwisk osób znanych powszechnie wznieciłoby zainteresowanie z pewnością. Niestety! Ta niedorzeczna odpowiedzialność wobec prawa, a niekiedy samowolny wymiar sprawiedliwości, jakiego sobie pozwalali pokrzywdzeni, zrobiły proceder taki niekoniecznie ponętnym.

Bywały przykłady i surowych dekretów i dotkliwych satysfakcyj, a to wszystko obrzydza rzemiosło, i ostatecznie należało pomyśleć o czem innem.

Jakoż pomyślano. Nie jest to wprawdzie to samo; ci, którzy pomarli dawno, nie nadają się tak dobrze do skandalu jak ci, którzy żyją wpośród nas, ale... w braku — ale z konieczności — lepsze to jak nic, tembardziej, że sami fabrykanci oszczerstw i potwarzy oprócz bezkarności zupełnej mają tutaj do wygrania bardzo wiele. Przy pomocy kilku listów, dzięki jakimś wzmiankom pamiętników pozostałych i słownej tradycyi, ulepia się pewna całość, dorabia ornamenta, zapełnia luki i taki fabrykat podaje się czytelnikowi, a zbytecznem byłoby dodawać, że towar o tyle jest pokupniejszym, o ile osobistości dotknięte oszczerstwem były w swoim czasie więcej poważane i cenione, a szczegóły pieprzniejsze. I tym sposobem jakaś literacka miernota zdecydowana, o którejby się nikt nie dowiedział z pewnością, choćby dziesiątkami lat zaczerniała bibułę, wychodzi sobie przytem na badacza literatury, i dzięki wydawniczym wpływom, urasta do rozmiarów nieprzewidywanych przez nikogo.

Takiemu pastwieniu się pośmiertnemu — takiej profanacyi pozagrobowej ulegają przeważnie ludzie pióra. Autorowie, artyści, poeci, jeżeli tylko byli dosyć sławni, a mieli w swojem życiu coś takiego, coby radzi byli utaić jak najstaranniej przed oczami żyjących, zostaną w naszych czasach wydobyci z grobów, skarykaturowani, oszpeceni, wystawieni na urągowisko tłumu bezmyślnego, który ani ocenia, jaka się spełnia bezwstydna orgia, i jak się to na moralności pokoleń odbija ujemnie.

Tłum jest wogóle od tego, żeby nic nie oceniał i nic nie przewidywał; ci, którzy ostrzegali w swoim czasie, zamilkli zniechęceni, a robota niegodziwa prowadzi się bezkarnie w dalszym ciągu.

U nas, nie wszyscy nasi pierwszorzędni ulegli jednakiej profanacyi. Mickiewicz wyszedł z tej roboty obronną jeszcze dosyć ręką, boć ostatecznie młodociane idylle wielkiego poety pod piórem tych ludzi nowych, jakkolwiek nam w niczem jego postaci nie uzupełniają ani objaśniają, jednakże pozostawiają ją przynajmniej niedotkniętą i nie umniejszoną w niczem.

Za to z pamięcią Krasińskiego i Słowackiego postąpiono sobie u nas wprost niegodziwie—powtarzamy: niegodziwie, i tego wyrażenia ani cofnąć, ani modyfikować nie myślimy. Były i u nas głosy ostrzegające, znaleźli się i tutaj ludzie, którzy ocenili jak należy następstwa takich targnięć, wreszcie wskazała Konopnicka przykładem, w jaki sposób odświeża się potomnym pamięć jego ludzi wielkich. Pozostało wszystko po dawnemu. Wydawca woła o rzecz poczytną, w powietrzu powab skandalu jest wszechmocnym, a więc skandalu za wszelką cenę, a ktoby się tam krępował skrupułami i względami! Zresztą, jedna i ta sama rzecz nie w każdej chwili jednako oddziaływa. Był czas, w którym odczutoby; co miała w sercu znakomita poetka, odtwarzając scenę spotkania się w Wrocławiu Słowackiego z Weryhą-Darowskim — przyszedł inny czas — z nim inne zapotrzebowania, a więc produkuje się co innego, a tamto poszło sobie w zapomnienie. Zależy niestety wszystko od tego na co moda, i co do smaku w daną chwilę przypada najlepiej.

Abyśmy jednak wiedzieli zkąd przyszła moda, czem jej ukazanie usprawiedliwiają ci, którzy się nią światu przysłużyli, i z jakich w tej robocie wychodzą oni założeń etycznych, przytoczymy w treści artykuł pana Juliusza Lemaitre, drukowany w ostatnim tygodniu w paryzkim „Figaro.” Znajdziemy tam rzeczy dosyć nowe dla ogółu naszego—motywa przedtem nie zasłyszane, śmiałość wygłoszenia maksym niemożliwych dotąd niepraktykowaną; a że to nie pierwszy lepszy przemawia za tą robotą, o której mówimy, że to nie byle kto usprawiedliwia te exhumacye, ale jeden z 40 nieśmiertelnych Francyi, przeto głos jego jako odosobniony i nieznaczący, a moralność zapatrywań jako nieobowiązująca nikogo, uważaną być nie może. Artykuł nosi tytuł:

„Bilans naszych ostatnich rewelacyj literackich.”

Idzie o to, że rozpoczął się w roku bieżącym wyścig prawdziwy między posiadaczami jakichkolwiek dokumentów piśmiennych, dotyczących spraw sercowych pani Sand, a sprawy te były jak dobrze wiadomo, z rzędu takich, które przez wzgląd na pisarski talent zmarłej autorki, na jej żyjące dotąd potomstwo w linii prostej, a przedewszystkiem przez wzgląd należny imieniu kobiety wogóle, najlepiej było pozostawić w cieniu, ku wiekuistej niepamięci. Zresztą już to wszystko po sto razy jest opisane, powtórzone, otrąbione światu całemu, a to co się dzisiaj do tego śmietniczka dorzuca jeszcze, to tylko przyprawa korzenna — pieprzna pod miarę dzisiejszych podniebień i zastosowana do współczesnego przeżycia ludzkiego. Są to tedy znowu korespondencye p. Desbordes-Valmore, i listy p. Sand do Sainte-Beuve'a. Te ostatnie stanowią fine-fleure owego bukietu, któremu równego nie ma doprawdy chyba literatura żadnego narodu. Gdyby te kartki miały być autentycznemi, gdyby istotnie przed tym człowiekiem spowiadała się w ten sposób kobieta

ze zboczeń swojego życia, byłby to tylko dowód, że na pewnych szczeblach wyrafinowanej deprawacyi dochodzi się do naiwnej potworności pierwotnego stanu — jednem słowem im autentyczniejszem jest to wszystko — tem godniejszem pogrzebania najgłębszego w otchłani niepamięci.

Ale przybywa jeszcze nowy żywioł. Idzie tym rozkopywaczom mogił o to, jakiego rodzaju był stosunek Sainte-Beuve'a do Wiktora Hugo i jego domu — czy wielki poeta i myśliciel w czasach swojego małżeństwa miał w sprawach domowych należytą dozę przenikliwości potrzebnej każdemu mężowi, czy też zapatrzony w otchłanie i wyżyny niezmierne, dla tego co się działo dokoła niego w otoczeniu najbliższem, nie miał oczu i uszu.

Panią Sand interesuje bardzo ten stosunek, radaby wiedzieć co ma o nim trzymać, bo też ta pani Aurora to intelligencya sama, a przytem dobroć uosobiona i wcielenie żywe macierzyństwa. Tak jest! matką jest ona idealną — niezrównaną, zdaniem tych szperaczy wszystkich i Sainte-Beuve'a także, który się na tem zapewne rozumiał jak pies na pomarańczach.

Wreszcie Bóg z nimi! Nie o to nam już chodzi kim była pani Sand i Sandeau i Mirimée i alkoholik Musset, i ten Pagello, i Sainte Beuve, ale co to są za ludzie, którzy to dziś wznawiają, rozmazują, i zkąd czerpią oni pomysły do usprawiedliwienia tego świętokradzkiego szperania swojego po grobach.

Chwilka cierpliwości a wyjaśni się nam to wszystko!

Kiedy się już na dobre zabrano we Francyi do tej nieczystej roboty, kiedy już wywleczono co się dało, kiedy już sprofanowano oględzinami i komentarzami wszystko co się nie kwalifikowało ani do oględzin ani do komentarzy, naprzykrzyła się tu wrzawa obrzydliwa ludziom czyściejszych sumień i delikatniejszych uczuć, i dały się słyszeć z wielu stron tego mniej więcej rodzaju napomnienia:

„Dajcie pokój umarłym! Po co ta exhumacya cała? Nie ujawniacie nic ważnego, a to co wygrzebaliście dotąd, to albo drobiazgi, albo sprawy smutne nadzwyczaj. Przychodzi doprawdy uwierzyć, że epoka nasza to epoka ściągania w błoto nietylko tego co żyje, ale i tego co umarło oddawna. Pokój tym nieżyjącym! Jeżeli nam nie idzie ani o ich popioły, ani o ich pamięć jako ludzi prywatnych, zostawmyż przynajmniej nieumniejszoną sławę ich geniuszu przez wzgląd na tych, którzy przyjdą po nas."

Zdawałoby się, że tym przynajmniej ostrzeżeniom nie ma co zarzucić, ale pokazuje się, że czego innego pożąda człowiek dzisiejszy, bo oto właśnie kilka zdań bardzo wymownych, któremi p. Juliusz Lemaitre stara się zbić całą bezpodstawność tego rodzaju napomnień. Posłuchajmyż tego męża.

„Wogóle nie pojmuję skrupułów, jakimi rządzą się ci wszyscy, którzy zaklinają o jakąś powściągliwość, gdy się mówi o życiu ludzi sławnych. Tym, którzy nie żyją, wszystko jedno, cokolwiek o nich powiemy, bo umarli mają za swoje uczynki tylko ten wstyd, który my im przypisujemy. Zresztą cóż my o nich możemy powiedzieć takiego, coby nie było zupełnie ludzkiem. Biedacy, ci byli takimi samymi jak my jesteśmy — robili co mogli i jak mogli. Nakoniec zważmyż i to przecie, że ci geniusze w grobach swoich mają zanadto przewag nad nami, a co do mnie przynajmniej, to ja znajduję, że skłonność człowieka dążąca do obniżenia tego co go przerasta, jest zupełnie normalnem uczuciem. Nakoniec, kto mi może powiedzieć, że literatura nie zyskuje na tem, i że nie bylibyśmy jeszcze bogatsi, gdybyśmy mieli tyle szczegółów z życia Racina, Molièra i współczesnych im, wiele mamy z epoki, o którą nam chodzi.

„To są wszystko niedorzeczne skrupuły, którymi się rządzą ci panowie odradzający badania nad życiem ludzi sławnych, którzy już pomarli— owszem! jak najwięcej badań! jak najwięcej dociekań i szczegółów! A jeśli komu o cnotę chodzi, to i takiemu można na to coś odpowiedzieć: Jak ci chodzi o cnotę, mój dobry panie, to jej sobie szukaj w życiu takiego i takiej, którzy nigdy nie mieli pióra w ręku, a nas zostaw przy naszych pojęciach i robocie naszej!"

To się nazywa powiedzieć jasno. W jakiem to przepysznem oświetleniu stawia szczerość głoszonych drukiem przekonań, jak uczy poszanowania dla pisanego słowa, przedstawiając w należytem świetle harmonią między słowem a uczynkami apostołów wszelkich idei. Dobrze byłoby aby i nasi panowie uprawiający ten dział, poczerpnęli argumentów ze spowiedzi pana Lemaitre'a, bo nie przypuszczamy jeszcze, żeby wyszli z tych samych zupełnie założeń. Zawsze im się taka nihilistyczna sofistyka przyda, gdy ich zawezwą do porachunku, a że zawezwą kiedyś, to nie podlega wątpliwości.

S.

PRACA KOBIET.

Kwiaciarstwo, krawieczczyzna.

Pisząc nasze artykuły, mamy zawsze na względzie rzeczywisty pożytek szanownych czytelniczek; dlatego też poświęcamy więcej miejsca rzemiosłom korzystnym, mniej korzystne, wyeksploatowane zaś będziemy rozpatrywali krótko.

Do rzędu tych ostatnich musimy zaliczyć kwiaciarstwo, krawieczczyznę i szycie bielizny.

Z pomiędzy wymienionych zawodów stosunkowo jeszcze najlepszem, nb. przy zdolnościach, jest kwiaciarstwo. Pomimo bardzo wielu adeptek, fach ten cierpi dotąd na brak pracownic wyższej miary i dotąd też nie może konkurować skutecznie z zagranicznymi, zwłaszcza francuzkimi wyrobami, które odznaczają się taniością i dobrym gustem. Gdyby jaka panna pojechała na parę lat do Paryża np. i tam popracowała inteligentnie, to po powrocie byłaby w Warszawie poszukiwaną i mogłaby liczyć na przyzwoity dochód.

Rzecz jasna, że nie każdy ma w tym kierunku większe zdolności i że wyjazd do Paryża w celach wydoskonalenia się, nie dla każdej kobiety jest dostępny, chociaż, powiedzmy tę prawdę, iż mężczyzni rzemieślnicy od dawna jeżdżą za granicę dla zapoznania się ze swoim fachem i z postępami jego.

Czyżby więc i płeć piękna nie powinna iść za tym przykładem, kiedy chce wywalczać sobie byt niezależny?

O takich wyjątkowo energicznych i zdolnych kwiaciarkach nie będziemy mówili.

Rozpatrzymy jednak, czy przeciętna uboga panienka może dziś utrzymać się z tej pracy.

Powiadamy utrzymać, bo podług nas wszelka praca, nie zapewniająca minimum i niezbędnych środków do życia, jest tylko pochyłością, z której znaczna niestety liczba pracownic stacza się w przepaść występku.

Otóż powiadamy stanowczo, że kwiaciarka *skromnych wymagań* może żyć trudniąc się wyrobem kwiatów.

Ostrzegamy tylko, że nie należy się brać do tego fachu, nie mając zdolności, inaczej jest się skazaną na wegetacyę materyalną.

Panna pragnąca zostać kwiaciarką musi, jak na dziś, praktykować przynajmniej rok w jakiejś pracowni albo bezpłatnie, albo za bardzo małem wynagrodzeniem (3 — 4 rs. miesięcznie). Po upływie tego czasu, stosownie do uczynionych postępów, otrzymuje lepsze warunki. Średnio wykwalifikowana może liczyć na 12—15 rs. pensyi, do której bardzo często dokłada się obiad.

Starsza panna, obdarzona gustem wytworniejszym, umiejąca robić sama piękne kwiaty i kopiować zręcznie modele zagraniczne cieszy się dużą wziętością i praca przynosi jej 30, a nawet w niektórych wypadkach 40 rs. miesięcznie.

Niestety, kwiaciarek mamy dużo, rekrutują się one przeważnie z ubogich dziewcząt, które praktykują od 10 lub 12 lat wieku i mają bardzo mierne uzdolnienia.

Przeciętne wynagrodzenie w tej gałęzi pracy jest więc nader skromne; tembardziej, że obok nieudolności daje się jeszcze postrzegać nadmiar w podaży pracy.

Krawieczczyzna nie jest też popłatniejszą od kwiaciarstwa. Na tem polu panuje między kobietami olbrzymia konkurencya.

Nie ma ulicy, na której nie istniałoby obok siebie kilka albo kilkanaście *pracowni sukien*. Oprócz tego każda szkoła rzemiosł wykłada praktycznie ten przedmiot i znaczna większość panien zapisuje się nań.

Krawcowe trzeba podzielić na dwie kategorye:

1) Fachowo oddające się szyciu sukien i szukające w tej pracy źródeł utrzymania.

2) Panienki w części mające byt zapewniony, lecz pragnące robić odzież na swój własny lub swej rodziny użytek.

Los fachowych kobiet, które poświęcają się temu rzemiosłu, jest zaiste godzien pożałowania. Niedość, że muszą one pracować bez wytchnienia, nieraz nawet do późnej nocy, kiedy sezon tego wymaga, ale jeszcze obowiązane są znosić kaprysy klientek.

I jakież wynagrodzenie otrzymują za to? Jak najnędzniejsze. Przeciętna szwaczka zarabia w pracowni 8—10 rs. miesięcznie; jeżeli któraś zręczniejsza, znająca krój dostanie 20 lub 25 rs. uważa się za szczęśliwą.

Zarobek ten na wakacye ustaje jednak zupełnie; pracownice igły, odprawione bez ceremonii przez krawcowę, muszą żyć jak ptaki niebieskie z dnia na dzień, godziny na godzinę.

Ażeby się zaś dostać do tego czyśca i módz kiedyś zarabiać 10 rs., trzeba w dodatku praktykować, tułać się po pracowniach drobnych przez lat kilka.

Chcąc być bezstronnymi, widzimy się w konieczności odradzać kobietom ten zawód, gdyż panuje w nim przepełnienie, a co za tem idzie, płaca jest niesłychanie nizka.

Dobrze jest jednak umieć robić sobie samej lub swym siostrom sukienki; w budżecie domowym jest to niemała oszczędność, pod warunkiem żeby taka domowa krawcowa nie psuła materyału;

zyskuje się tutaj nietylko sumę, którą należałoby zapłacić w szwalni, ale jeszcze zarobek właścicielki tejże.

Panienka umiejąca szyć, lecz nie pragnąca zarabiać igłą na utrzymanie, może się zwrócić do szkoły kroju i tam za jakie 15—20 rs. za kurs, nauczyć się w przeciągu kilku miesięcy tyle, że będzie w stanie robić *skromne codzienne sukienki*. Inne niechaj najlepiej odda specyalistkom, które są wykwalifikowane w robocie trudniejszej.

Dziewięć dziesiątych uczennic, opuszczających szkoły kroju, ogranicza się do pracy w zakresie rodzinnym. Jeżeli która z nich, posiadłszy takie tylko kwalifikacye, zechce założyć własną szwalnię i robić dla publiczności, napewno prawie narazi się na przykry zawód i w dodatku narazi się licznym osobom. Szycie lepszych, strojniejszych sukien, to rzecz trudna bardzo i powiedzmy nawet, że wymagająca pewnego artyzmu, ocenienia piękna kobiecego i trafnego doboru materyału i dodatków.

Może się to wyda niektórym czytelniczkom dziecinnem, ale fakt faktem. Najsłynniejsi paryscy krawcy używają w swych pracowniach mężczyzn i twierdzą, że oni najlepiej wywiązują się z trudnego zadania. Przypomnijmy sobie tylko Worth'a.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

I poszli. Ohana na salę, a Stefan do bufetu, gdzie zastał jeszcze Szymonowicza, siedzącego na końcu stołu. Biesiadników było niewielu, całe towarzystwo tańczące wyniosło się do sali, bo mazur się zaczynał, inni zaś rozpierzchli się po pokojach.

Podszedł do szwagra i przysiadłszy się pytał:

— Cóż tu sam robisz?

— Jem i piję — odrzekł tenże krótko, zapalając papierosa.

— W winta nie grasz?

— Grałem, ale mi się znudziło. Czekam nowej partyi, którą Jaś dobiera — może się dasz namówić?

— Nie.

— Więc zjedz co; kuchnia wyborna u Owanesa, musiał chyba z Odessy kucharza sprowadzić, i szampan wyśmienity, najlepsza marka.

— Ja w tym domu nic nie jem i nie piję.

— Czemu? Czy się boisz, by cię Ohana nie struł? Daj pokój, trucicielem przecież nie jest, a niechęć ma swoje granice.

— Moja nie ma granic — rzekł Stefan ponuro.

Szymonowicz spojrzał na niego uważniej, a dostrzegłszy wijące się szyderstwo w kąciku wązkich warg, zagadnął zcicha:

— Mój kochany, powiedz mi, dlaczego ty tak niecierpisz tego człowieka? Bo ja przyczyny domyślić się nie mogę.

— Inni — dodał po chwili zadumy, — inni może mają coś do niego, mogą mieć, powinni mieć niekiedy — ale ty?

Na to Stefan roześmiał się ponuro:

— Ja go nienawidzę — mówił, — od pierwszego zetknięcia się z nim na ławce szkolnej. Nienawidzę, bo on nademną górował, bo mi imponował na każdym kroku i przysłaniał mnie wobec innych, ten, ten... syn klucznika, nędzarza. Nienawidzę go teraz, bo on jest magnatem, bo mu się powodzi, bo znowu góruje nademną. Może to nielogiczne, lecz ja się pozbyć tego nie umiem, i nie chcę; on to czuje i boi się mnie.

Kiedy mówił, wargi mu drżały, był blady.

Szymonowicz patrzał na niego z niemem zdziwieniem, z przerażeniem niemal:

Milczał więc i pił pieniący się szampan, tłumiąc w sobie wzruszenie.

A Stefan znów zapytał:

— Wiesz teraz, jak i dlaczego go nienawidzę?

— Wiem, lecz nie rozumiem dobrze.

— To dzisiaj lepiej jeszcze — najlepiej zrozumiesz, bo go sam podobnie, a więcej jeszcze może znienawidzisz!

Szymonowiczowi lampka z rąk wypadła na ten szept mroczny szwagra. Drgnął i myśl czarna uwięzła mu w sercu. Wstał więc i rzekł:

— Zostań tu, ja się przejdę trochę! Zapytam się Jasia czy partyę do winta już skompletował.

Widząc to Stefan, chwycił go za rękaw i powiedział półgłosem:

— Nie chodź! Z wintem daj pokój. Przejdź się ze mną, dowiodę ci, żem prawdę mówił.

— Człowieku! Ja oszaleję — syknął Szymonowicz. — Mnie się rozum przewraca...

I poszedł za szwagrem do ogrodu, dokąd go tenże ciągnął. Nie mógł się oprzeć, szedł jakby popychany jakąś siłą tajemniczą. Nie wiedział jak i kiedy przedostali się różnemi bocznemi ścieżkami do małej oranżeryi ciemnej, pustej i przysłoniętej murem wystającym z oficyny piętrowej.

Ciemno tu było i cicho, widać umyślnie pozostawiono ten zakątek w cieniu, bez światła. Niktby też tu nie zachodził, bo nie miał po co, zresztą trzeba było poznać dobrze cały labirynt ścieżek i szpalerów, by tu trafić w nocy.

— Ostrożnie—szeptał Stefan idąc przodem,— bo możem się przewrócić na wazon lub doniczkę.

Rzeczywiście trzeba było nadzwyczaj wolno i oględnie stąpać, gdyż na podłodze tu i owdzie stały wazony duże z rosnącymi w nich jakiemiś krzewami egzotycznymi, drzewkami, kwiatami, które w ciemności stłaczały się w jedno postrzępione pasmo czarne. Widocznie zaczynano dopiero wszystkie te rośliny porządkować, przenosząc je z ogrodu na zimowe leże, dlatego panował tu taki nieład.

Do tej oranżeryi prowadziły drzwi w połowie oszklone, przysłonięte ciężkiemi portyerami, spiętemi pośrodku—nie tak jednak szczelnie, by przez mały otwór nie podobna było zajrzeć do wnętrza pokoju. Wązka smuga światła, płynąca ztamtąd, przecinała cieplarnię na dwie nierówne części ciemne, ponure, pełne jakichś nastrzępionych fantastycznych kształtów, zbitych w massę bezładną.

— Stań tutaj i patrz przez tą szparę — rzekł cicho Stefan, ustawiając szwagra wprost świetlanego otworu.

Sam zaś oparłszy się o wystający sęk jakiegoś drzewka sterczącego z boku, szukał innego punktu, z któregoby mógł obserwować, co się wewnątrz dziać będzie. Widocznie znalazł, bo przystanął, a przyłożywszy się do drzwi, czekał.

— Tylko ostrożnie, bo ich możesz spłoszyć — szeptał.

Nie było tu jeszcze nikogo. Na stole paliła się nizka lampa, przysłonięta niebieskim jedwabnym abażurem, rozsiewająca łagodne, delikatne światło po błękitnych atłasowych obiciach, po miękkim dywanie perskim, wyściełającym całkowicie podłogę, po nizkich fotelikach, rozstawionych wkoło stołu.

Nagle drzwi ukryte nieznacznie w ścianie otwarły się i do pokoju weszła Helena, a za nią Ohana, zamykając je ostrożnie po za sobą.

Ona, w tej samej białej jedwabnej koronkami drogiemi oszytej sukni, w której jej dziwnie było do twarzy. Wyglądała młodo, nie jak kobieta od lat kilkunastu zamężna, lecz jak panna w wiośnie lat.

Wsparta na ramieniu Ohany przyglądała się temu buduarowi w skupieniu wielkiem. Złoty półksiężyc osypany drobniutkimi brylancikami, żarzył się w tajemniczo migocącym świetle lampy i płomieniał w puklu czarnych, połyskliwych włosów.

W oczach jej przebijała ciekawość kobieca, pomieszana z jakąś nadziemską uciechą. Niby to miała twarz uradowaną, przejętą rozkoszą, a jednak cień smutku przesłaniał tę słodycz—to szczęście chwilowe.

Ohana rozpromieniony szczęściem przystąpił do niej i ująwszy ją delikatnie jak piórko puchu, posadził na otomanie... Nie opierała się, słuchała, zapatrzona w jego duże, błyszczące oczy, tego szeptu miłosnego, którym do niej przemawiał. Odpowiadała mu, uśmiechając się, wzruszona do głębi, pełna rozkoszy... w jego uścisku gorącym.

A Szymonowicz patrzał, patrzał, wieki by tak mógł spoglądać na tą scenę miłosną. Coś go osaczyło na miejscu, chciał się ruszyć a nie mógł, chciał ich rozłączyć, a nie mógł; chciał jego, tego, którego do głębi serca w tej chwili znienawidził, zabić — a stał jak wryty. Takie jakieś niepojęte odrętwienie nim owładło.

Więc ona, ta żona nigdy go nie kochała, nigdy nie przywiązała się naprawdę do niego, była od pierwszej chwili tylko więźniem losu, co ją z nim połączył i skuł?... Tak, tak, widział to sam na własne oczy, słyszał z jej własnych ust, ona kochała Ohanę tak samo teraz, jak w panieństwie swem, tak samo, a może więcej, bo tęsknota a więzienie potęguje miłość i pożądanie. A on myślał, że ją przywiązał do siebie dobrocią, czułością, delikatnością, dostatkami, którymi ją otoczył. Mylił się, mylił się tak srodze, tak okrótnie, iż nietylko wściekłość lecz i żal mu ściskał serce w tej chwili.

Każdy szept ich, każdy uścisk palił go zazdrością bezmierną, wlewał mu w krew nieznany ogień pożądania i namiętności. Czuł, jak gdyby ziemia się pod nim zapadała, jakby wszystko wkoło niego wirowało — i zrobiło mu się nieznośnie.

Wtem ujrzał, że Helena pochyliwszy się na piersi Ohany cisnęła go do siebie, oczy miała nawpół przymknięte, a na ustach zakwitł przedsmak rozkoszy. On szeptał jej nachylony, szeptał jej wciąż do ucha słowa czułe, pełne czaru zmysłowego.

Szymonowiczowi zdało się w tej chwili, że życie jego wisi na włosku, że oszaleje, zemdleje i padnie. Chwycił się przeto instynktownie za wystającą gałązkę granatu, za którym stał nieruchomo Stefan, ale ta nie wytrzymała nacisku, złamana spadła z szelestem na ziemię.

Widocznie i im ten trzask łamiącej się gałązki wpadł do uszu, bo się obejrzeli niespokojnie. Helena jakby tknięta przeczuciem wysunęła się z uścisku Owanesa, który ją trzymał, niepomny na nic, i stanąwszy zawołała:

— Słyszałeś? Jakiś szelest za oknem.

— Nie lękaj się, to gałęź wichrem żerwana zleciała na ziemię; przecież to jesień. Tu nikt nas widzieć nie może, postarałem się o to; zanimeśmy weszli przejrzałem wszystkie kąty.

— Ja się boję. Mnie przeczucie coś złego szepce, kto wie, może zdrada jaka?

I cała blada rozglądała się wkoło i szeptem zdała się prosić go by, jej odejść pozwolił; a on chociaż udawał spokój, mimo to, ów szelest nagły i na nim uczynił wrażenie przykre. Myśl jakaś podejrzliwa zaświtała mu w głowie; kto wie?

Więc objąwszy ją czule raz jeszcze, prowadził ku drzwiom.

Wyszła.

Zostawszy sam Ohana rozejrzał się wokoło. Wściekły był w tej chwili na wiatr, na człowieka, na ducha, co sprawił ów niespodziany szelest i wytrącił go z tego upojenia, w którem zostawał przez chwilę.

Ciekawość go przytem zdjęła, pragnął się przekonać, co też to właściwie było przyczyną tego szelestu, który ją tak przeraził. Nie mógł się oprzeć chęci zobaczenia tego liścia, tej gałęzi, tego wreszcie czegoś, co trzasło, złamało się i spadło, przerywając ciszę, która dokoła panowała.

Odjął więc klamrę, spinającą ciężkie materyalne portyery, zawieszone nad drzwiami, co prowadziły do oranżeryi, i pchnąwszy lekko drzwi wychylił głowę na tą ciemnię, którą rozjaśniła nagle szeroka smuga mdławego światła, sunącego od lampy na stole. I ujrzał się w tej chwili oko w oko z Szymonowiczem, który stojąc przed nim szyderczo i surowo zarazem patrzał mu w oczy.

Nie dowierzał wzrokowi, postąpił krok naprzód ku temu człowiekowi, którego wziął za widmo, za marę senną. A ten jakby odgadując to, uśmiechnął się tak jakoś nienawistnie, że Ohana zadrżał, a potem nie zmieniając pozycyi rzekł głosem stłumionym:

— To ja! Pan się nie mylisz, to ja!

— A pan co tu robi? — zdobył się Ohana na pytanie, chcąc instynktownie ratować sytuacyę.

Szymonowicz nań spojrzał ponuro i odrzekł wolno:

— Co ja tu robię?... Co?... Patrzę i stwierdzam posądzenia, które oddawna mnie udręczały.

Ohana zdawał się tej odpowiedzi nie słyszeć, bo był zajęty nowym widokiem; w kącie poza ogromnym, łopiastym filodendronem zarysował się ostry profil Stefana.

Zobaczywszy go nie mógł się powstrzymać od okrzyku nagłego:

— Zdrada, to była zdrada.. Więc to on tu pana sprowadził... nikczemny... podły.

I ledwie się opanował, taka nim wściekłość miotać zaczynała.

— Człowieku — syknął przez zęby, — idź ztąd, bo cię rozszarpię bez litości. Nie chcę mieć świadków w tej chwili.

Cień się rozwiał, jak widmo nocne, przepadł, zasunął się gdzieś poza zbitą gęstwę krzewów egzotycznych.

— Więc pan wie wszystko? — spytał Szymonowicza, który oparłszy się o granat zdawał się coś kombinować w głowie, plan jakiś straszny układać.

— Wiem — odrzekł.

— Wie pan zatem, jak kocham Helcię, jak bardzo ją kocham!... jak jej pożądam, jak szalenie pożądam całą duszą i ciałem całem. Wie pan, że mam wzajemność, że miałem ją zawsze od zarania mej młodości — i mieć ją będę do końca jej, i mojego życia.

— Przekonałem się o tem, lecz zarazem przekonałem się także, że jeden z nas zginąć musi, i że dla nas obu niema już życia na ziemi.

Słowa te wychodziły Szymonowiczowi z gardła zdławione, zmięte — łamały się w dźwiękach.

— Gdybym zwyczajnie, jak młokos sądził o ludziach — ciągnął dalej, — nazwałbym pana w tej chwili podłym, nikczemnym, człowiekiem bez czci i wiary, ale ja o panu tego nie powiem. Pan działałeś tak, jak mężczyzna, co prawdziwie kocha, jak ten, któremu miłość weszła w krew, w serce, w rozum. Ja to zacząłem od niedawnego czasu rozumieć. Pan nie mogłeś inaczej żyć, boś był niewolnikiem siebie, swej namiętności. Gdybym podobnie jak pan nie kochał, nie szalał, postąpiłbym być może w tym razie inaczej, choćby wedle tego czysto ormiańskiego przysłowia — gesze gedre — podzielmy się do połowy: pan się kochaj, a do mnie żona będzie należeć.

Zaśmiał się przytem sucho, sarkastycznie, gorzko, przeszywając stojącego nieruchomo Ohanę, swym stalowo błyszczącym wzrokiem.

— Ale tak się dzielić nie możemy—i ja chcę duszy tej kobiety; ciała mi za mało, teraz czuję, że za mało.

Zatrzymał się, a potem dodał:

— I dlatego jeden z nas zginąć musi.

Następnie mówił jakby do siebie:

— Czy ja przypuszczałem, że na starość oszaleję?... Liczyłem — nie doliczyłem się; rachowałem — nie dorachowałem się, więc cierpię, ach, jak cierpię!..

— Zrozumiał mnie pan?

— Zrozumiałem, i jestem na jego usługi — odrzekł Ohana. — Pan masz racyę: jeden z nas musi zginąć, los sobie ofiarę wybierze, inaczej być nie może i nie powinno być inaczej.

— Jutro przyszlę panu mych zastępców, podyktujesz im pan warunki.

Rzekłszy to Szymonowicz chciał się oddalić, gdy Ohana go nagle pochwycił za rękę.

— Panie! Jeszcze jedno. Na wszystko się godzę, na wszystkie bez wyjątku warunki przystaję, tylko zastrzegam sobie jedno.

— Co takiego? Mów pan prędko, bo mnie zimna krew opuszcza, gotów jestem wybuchnąć, a nie chcę.

— Żeby ona, ta, o którą chodzi, nic o całem tem zajściu nie wiedziała, i żeby się to na ludzkie języki nie dostało. Trzeba zatem wymyślić pozór, przyczynę jaką, cośkolwiek, byle nie prawdę.

Mówił spiesznie, gdyż i nim wzruszenie owładło.

Szymonowicz zatrzymał się i rzekł zimno:

— Powtórzyłeś pan myśl moją, której w rozmowie nie nadmieniłem. Masz pan słuszność — biedna Zosia, co ona temu winna.

I odszedł, pozostawiając Ohanę z głową i sercem pełnem goryczy a żalu do losu, co go prześladował i męczył tak okrutnie. Tamtemu rozjaśniła się teraz cała zagadka; to Stefan podsłuchał w salonie rozmowę, jaką prowadził na kanapce pod oknem otwartem z Heleną i sprowadził tu szwagra, by w nim wzniecić tę nienawiść, co tlała na dnie serca i nie mogła się wypalić z czasem.

Był brzask. Ptaki budziły swym świegotem wesołym naturę ze snu. Wyniosłe lipy i kasztany, już dobrze opadłe z liści pożółkłych za powiewem rannego wiatru, poruszyły się i zaszumiały.

Szymonowicz stanął na balkonie i oczom nie wierzył, że dzień się zbliżał; jemu ciągle się noc majaczyła w głowie.

Noc, noc... on wolał mrok ponury niż ten dzień, co mu przypominał rzeczywistość poziomą.

Otrząsnął się z zadumy, przetarł oczy i kazał stróżowi podwórzowemu, który właśnie zmierzał ku stajni, zbudzić Iwana, stangreta, by tenże konie miał w pogotowiu.

Do sali przenikały już smugi światła dziennego i mięszały się ze światłem sztucznem, płynącem z kryształowego żyrandola i złoconych kinkietów. W tym blasku mdłym, jakby zakurzonym, twarze ochocze tańczących wyglądały powiędłe.

Antoniewicz prowadził mazura i trzymając za rękę piękną Kargopulo dyrygował głośno. Słuchano go, więc mazur szedł gładko, z życiem, doskonale.

Szymonowicz obejrzał się naokoło i wzrokiem szukał żony. Nie tańczyła, lecz siedząc na małej kanapce przysłoniętej ogromnemi dracenami, przyglądała się sunącym po gładkiej lśniącej posadzce parom tańczących.

Na twarzy jej przybladłej, malował się niepokój. Co chwila rzucała oczyma na podwoje główne, jakby czekała na kogoś. Zobaczywszy męża, który jakiś sztywny, zimny, surowy zbliżał się ku niej, zadrżała lekko, lecz opanowała się zaraz i, kiedy się ku niej nachylił mówiąc:

— Już jedziemy!

Odpowiedziała, przywołując uśmiech na smutne oblicze:

— Czemu tak wcześnie? Przecież się jeszcze nikt nie rusza.

— Jedziemy już, dosyć tego balu!

Słowa mu brzmiały tak jakoś dziwnie, niby przepojone goryczą, iż spojrzała nań uważniej. Człowiek ten zdawał się być innym, jakimś surowszym, starszym — i zadrżała. Złe przeczucie wśliznęło jej się, jak żmija do serca.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Szkoły i nauczanie wyższe.

„Prawitielstwiennyj Wiestnik” ogłasza rozporządzenie rządowe, dotyczące otwarcia szkoły ogrodniczej przy warszawskim ogrodzie Pomologicznym.

„Przegląd Tygodniowy“ podaje, że: Uniwersytet w Helsingfors inmatrykulował w roku bieżącym ogółem 203 kobiet. W tem: na fakultecie historyczno-filozoficznym 117 — na fizyko-matematycznym 79 — prawnym 8 — nakoniec na lekarskim 7. Cyfry te są nader wymowne. Studya historyczno-filozoficzne mianowicie nie kwalifikują, jak wiadomo, kandydatów swoich do zawodów chlebodajnych, toż samo prawie da się powiedzieć o fakultecie fizykomatematycznym, więc frekwencyą tak wielką na tych wydziałach jedynie chyba szczególnym popędem kobiety naszego wieku do oświecania się, wytłómaczyć sobie można.

Baczność płci męzka!...

Literatura i Sztuka.

Jak donoszą Redakcyi naszego pisma Gamaston wykończył dramat w 5 ciu aktach pod tytułem „Pąpawa,” który przeznacza dla teatru Rozmaitości.

„Wszechświat” rozpoczął druk przygód Nansena, opowiedzianych przez niego samego w angielskim miesięczniku „The Daily Chronicle.”

Zarząd Lutni warszawskiej ogłasza dwa konkursa po rubli 50 każdy za napisanie dwóch chorałów: męzkiego i mięszanego.

Badania lekarskie i zdrowie publiczne.

Lekarz przy szpitalu w Szczebrzeszynie doktór Józef Villaume otrzymał od księcia Lubomirskiego cenny dar, z którym przystąpić ma niezwłocznie do badań naukowych. Jest to aparat Roentgena z aparatem fotograficznym. Doktór Villaume po zebraniu dostatecznego materyału podzieli się spostrzeżeniami swemi z ogółem na odczycie publicznym w Lublinie.

Proszeni jesteśmy do zakomunikowania dla wiadomości ogólnej, że tegoroczna ślizgawka liczy już między niedojrzałemi adeptami a nadewszystko adeptkami swojemi sporą liczbę ofiar. Na mnożące się codziennie zapalenia płuc zwracają uwagę lekarze Warszawscy.

Już to tam, gdzie kochany sport rozwinie swoją chorągiewkę, tam zawsze tylko czegoś podobnego oczekiwać można, a panowie naganiacze nie ustają tymczasem.

Wystawa pracy kobiet.

W dniu 14 Lutego roku przyszłego otwartą będzie ta wystawa w salach Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Do składu komitetu mającego się zająć pracami przygotowawczemi zaproszono panie: Waleryę Marrené, Mirosławską, Krzyżanowską, Siwińską, J. Krausharową, Sikorską i Bojanowską — panów: Michała ks. Radziwiłła, W. Lepperta, L. Meyeta, Z. hr. Rzyszczewskiego, L. Jasińskiego, St. Szyllera, W. Urbańskiego, H. Sadowskiego i A. Hersego. Nie wykluczona jest przytem możność powiększenia liczebnego składu w miarę nastręczającej się potrzeby.

Założenie zrobił komitet, aby wystawa przyniosła realny pożytek kobietom pracującym w rozmaitych zawodach, i dlatego pożądanem jest przyjęcie udziału jak najszerszego ze strony tych, które z owocami pracy swojej istotnie zaprodukować się winny.

Przez pracę kobiet rozumie się nietylko rzemiosła, ale i sztukę — niemniej sztukę stosowaną; będą także dopuszczone wyroby szkółek, ochron zakładów dobroczynnych i przedmioty z zakresu przemysłu domowego kobiet włościanek. Jednem słowem:

Rzeźba, malarstwo, malowanie na atłasie, aksamicie, porcelanie, marmurze, szkle i drzewie.

Fotografia, heliominiatury, drzeworytnictwo i grawerstwo.

Z rzemiosł: krawiectwo damskie, szewctwo, kwiaciarstwo ogrodnicze i sztuczne, fabrykacya piór, modniarstwo, hafciarstwo kościelne, salonowe i białe, koronkarstwo, fryzyerstwo, introligatorstwo, koszykarstwo, gorseciarstwo, galanterya, szmuklerstwo i przemysł tkacki.

Wystawa trwać ma do końca Kwietnia i otwartą będzie codziennie, poczynając od wskazanego terminu od 10 z rana do 8 wieczorem.

W różby i przepowiednie.

Upowszechnionem jest między ludem mniemanie, jakoby zachodził bezpośredni związek między surowością zimy a wczesnym odlotem ptactwa wędrownego. Przesąd ten dostał się z pośród warstw nieoświeconych i między sfery intelligentniejsze tak, że ci nawet, którzy wróżbitom niechętne dają ucho, temu prognostykowi opartemu niby na niepomylnym instynkcie zwierząt, pewnej ważności nie odmawiają. Tymczasem przyrodnik francuzki Bouvart ogłasza w piśmie: „Etangs et Rivieres” że nietylko nie ma między wczesnym odlotem ptaków a surowością zimy związku najmniejszego, ale że przeciwnie zupełnie zaobserwowano naprzykład wyjątkowo późny odlot ptactwa w roku 1894—5 we Francyi, a zima była mroźniejszą o wiele niż normalna.

Sprawy miejskie.

Z rozporządzenia ministeryum przystąpił Magistrat Warszawy do traktowania z belgijskiem konsorcyum kapitalistów o skup zaprowadzonej przez nie i eksploatowanej sieci tramwajów miejskich. Podstawy do oszacowania są dwustronne — z jednej strony taksują te wartości ustanowione specyalnie komissye taksowe — z drugiej Towarzystwo stawia swoją cyfrę, która dotąd wiadomą nie jest. Zależy ona rozumie się od stopy procentowej wedle której kompania będzie chciała unormować kapitał. W każdym razie obliczając budowle, sieć robót inżynierskich, tabor wagonów, utensylia i konie, ma się tam coś, jak twierdzą, około miliona rubli w tym rachunku.

Trzeci most na Wiśle wchodzi na program robót, które przedsięwzięte będą w bliżkiej przyszłości, o czem wnioskować wolno chociażby z zamianowania osób na stanowiska naczelne w zarządzie technicznym. Łączy się sprawa mostu z drugą równie ważną, a mianowicie budową dworca centralnego dla kolei warszawskich. Szczegółów bliższych nie ma dotąd ujawnionych w prasie, wiadomo tylko na pewno, że projektowany pod aleją Jerozolimską tunel kolejowy od dworca Wiedeńskiego ku Wiśle a respective w kierunku projektowanego mostu trzeciego, ma być zaniechany stanowczo. Przeszkody natury technicznej wynikły z poziomu dzisiejszego dworca Wiedeńskiego, który stoi o wiele wyżej, niżby to na projektowane przedsiewzięcie pozwalało.

Ostatecznie przyjdzie chyba szpitalowi Dzieciątka Jezus przenieść się na pola Mokotowskie. Rakowiec okazał się od miasta zbyt odległym, plac po wystawie hygienicznej zbyt bliskim stacyi filtrów, przeciwko czemu oświadczyły się stanowczo komissye lekarskie i sam dotychczasowy naczelny kierownik robót kanalizacyjnych warszawskich. Podobno rokowania z ministeryum wojny o odstąpienie pola Mokotowskiego zajętego obecnie na ćwiczenia wojsk, są już w toku. W każdym razie czekają Warszawę liczne ulepszenia, które znakomicie przyczynią się do zmiany fizyognomii naszego miasta, daj Boże na lepsze.

Zarząd miejski zaproponował właścicielom posessyj położonych przy ulicy Smolnej, których fronty wychodzą na Aleę Jerozolimską, oddanie skarpy ciągnącej się od Nowego Światu, aż do posiadłości Czerwonego krzyża. Właściciele mogliby podnieść wartość swoich nieruchomości przez zaprowadzenie na tym tarasie ogrodów kwiatowych. W zamian żąda Magistrat oczyszczania i polewania Alei Jerozolimskiej, co dotąd dopełnianem było kosztem miasta. Nie wiadomo jak przyjmą ofertę panowie właściciele domów, to pewna, że za granicą chwyconoby się tego ze skwapliwością całą. Jak będzie u nas przesądzać trudno, ale o ile nam wiadomo, raz już była robiona propozycya taka i odrzucono ją jednomyślnie. Szczególne!

Zmarli.

Doktór Jakób Rogowicz, zaszczytnie znany w kraju naszym lekarz i uczony. Urodzony w Kaliszu w roku 1839, kończył warszawską Akademię medyczną, a następnie dał się poznać jako pierwszorzędny specyalista w zakresie chorób kobiecych. Oprócz bardzo rozległej praktyki oddawał się publicystyce swojego zawodu, spełniając kolejno obowiązki redaktora: „Kliniki,” „Medycyny” i „Pamiętnika Towarzystwa Lekarskiego.”

Umarł zaszczytnie, wśród trudów swego ciężkiego powołania, pozostawiając wspomnienie godne zazdrości, na które życiem swojem sumiennie zapracował.

Stefan Szolz-Rogoziński, głośny w swoim czasie podróżnik po lądach afrykańskich, zakończył życie w Paryżu w wieku lat 35.

Wskazówki i rady.

Pranie białych, glansowanych rękawiczek bez benzyny.

Dla nieznoszących odoru benzyny podajemy poniżej inny sposób równieź dobry do czyszczenia białych rękawiczek glansowanych bez użycia benzyny. Zalecam roztwór mydła w gorącem mleku a lepiej jeszcze dodać do tego roztworu jedno ubite na pianę białko i kilka kropel amoniaku. Wciągnąć rękawiczki na rękę i za pomocą wełnianego płatka trzeć i wysuszyć następnie w cieniu. Takim sposobem prane białe glansowane rękawiczki a nawet perłowe dziś tak modne, wyglądają jak nowe, a co więcej, skórka pozostaje miękką.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Nowe książki

NADESŁANE REDAKCYI „TYGODNIKA,”

Nakładem firmy Gebethnera i Wolffa:

Cudowna wyspa, Juljusza Vernea, tłómaczone p. M. D.

W zimie, książeczka dla małych dzieci, p. Maryę Weryho.

Jedynaczka, powieść p. Bronisławę Porawską.

Historya o Antku rolniku, opowiadanie dla młodzieży, p. Zofię Bukowiecką.

Młodość sławnych ludzi, p. Eugeniusza Millera, przekład Jana Chęcińskiego.

Madejowe łoże, p. Walerego Przyborowskiego.

Nakładem firmy G. Sennewalda:

Panna Staryńska, powieść, p. W. hr. Łosia.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i Katalog wydawnictw Plato v. Reussnera.

Дозволено Цензурою, Варшава 26 Ноября 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**